NOC NA OKRĘCIE.

Z PISM MARLIŃSKIEGO.

. . . Wiatr coraz chłodniejszy, bałwany morza bardziéj falowały — Okręt nasz bystrym pędem suwał się po ciemnéj przestrzeni niezgłębionego oceanu. Już nawet ostatnia gwiazdeczka świetlejąca po zachodzie słońca zgasła, a ciemność okrywała na około widnokrąg, i tylko wzrok napotykał czerniejące w odległości maszty towarzyszącéj nam w podróży floty Rossyjskiéj; gdzie niegdzie jak gwiazdki błyszczały okrętowe latarnie. Siedziałem wówczas na rufie okrętu, ciesząc się widokiem olbrzymich bałwanów, które na wyścigi pędziły za naszą fregatą, dościgały swojego celu i nakoniec z pluskiem i szmerem o nią się roztrącały; za każdem uderzeniem drżał okręt; za każdem parciem wiatru chwiał się i z trzaskiem skrzypiącym znowu powstawał. — Majtkowie trzymający straż spali, zaledwie tylko kiedy niekiedy komenda Kapitana: *Steerboard! Backboard!* (ster na prawo, ster na lewo) i ciągła odpowiedź *yes*, *yes*, (słyszę) przerywała sen czuwających żeglarzy. Co do mnie, dosyć już byłem oswojony z niebezpieczeństwami na morzu i niemiałem żadnéj obawy; nadto, ta obojętność wszystkich obecnych na okręcie, mimowolnie wpaja uczucie spokojności, w umysły najbojaźliwszych nawet podróżnych. Oddałem więc się marzeniom w towarzystwie swiszczących wiatrów, i kiedy wzrok mój ścigał odpryski spotykających się z sobą bałwanów, myśli moje były daleko, bardzo daleko.

— »Znowu marzysz!« trąciwszy mię zwolna po ramieniu, rzekł Ronald' Kapitan fregaty: »a kochani twoi towarzysze

swobodnie biesiadują w kajucie z naszemi żeglarzami. Powiedz mi otwarcie, gdzie i do kogo unosiła się teraz myśl twoja skrzydlata?

— »Uprzedziłem szybkość twojego okrętu, Kapitanie! albowiem byłem w kraju rodzinnym, kochany Ronaldzie!« Lecz muszę pierwéj opisać, kto był ten Ronaldo.

Ojczyzną jego Szkocya; powiadają, że jest officerem wzorowym na morzu i lądzie; wzrostu wysokiego, figury kształtnéj, blondyn i wysmukły; (co jest osobliwością w strefie Wielkiéj Brytanii); nie ładny, lecz gdybym był kobiétą, to niepodobna ażebym się w nim niezakochał. Jakaś ponura tęsknota dodawała jego bladéj twarzy powagi i czyniła go zajmującym; oko jego nie zawsze pogodne, lecz odbijał się w niém jeszcze ogień przeszłych namiętności. — Są oczy, które z pierwszego spojrzenia wykazują otwartość i zmuszają do przyjaźni; taką była twarz szlachetna Ronalda, po piérwszém zaraz widzeniu się, zostaliśmy przyjaciołmi.

»Byłem w kraju rodzinnym!« powtórzyłem. — »Szczęśliwyś!« rzekł z westchnieniem Ronaldo: »przyszłość dla ciebie tam kwitnie; lecz dla mnie ona już nigdzie nieistnieje.«

»Ronaldo, czy jesteś nieszczęśliwym!« zapytałem go, przyjacielsko ścisnąwszy za rękę, niezmiernie tym był wzruszony, że podzielam jego cierpienia; i za to szczere uściśnienie ręki, odpłacił mi takiem spojrzeniem, że gdyby ono przyśniło się mi nawet w grobie, wzbudziłoby we mnie uśmiech radości. Z tém wszystkim jednak, nienawiść ludzi, przemogła jego uczucia i powtórzył z gorzkim uśmiechem: »Nieszczęśliwym! ludzie tak są marnotrawni, w swych wyrażeniach, że obawiam się być przedmiotem pośmiewiska, nazywając siebie tylko nieszczęśliwym; Mówią, jak jestem nie-

szczęśliwy, że spóźniłem się do teatru; jak jestem nieszczęśliwy, że nieupolowałem zająca! Cóż mnie pozostaje do powiedzenia, mnie, który straciłem wszelkie szczęście i niemam nadziei aby kiedyśkolwiek dla mnie zabłysło?—»Ronaldo, może kochałeś?— »Pytasz mię czy kochałem?.... jakaż inna namiętność w naszych latach może zająć duszę zachwyceniem, albo ugodzić w nią ciosem rospaczy! sławolubstwo wtenczas powstaje, gdy już miłość gaśnie; mamiące złoto zajmuje tylko czołgającą się starość, lecz młodzian leci i kocha. Alisterze, tyś zapewnie także kochał, przeto mnie rozumiesz. Stałem się już obcym, nawet między rodakami; towarzysze moi nie rozumieją mych uczuć, ale dusze ogniste, są to dzieci jednéj krainy, jestem więc nader szczęśliwy, że mam sposobność odnowienia wspomnień, że bolesne moje uczucia mogę powierzyć chwilowemu przyjacielowi, mieszkańcowi brzegów nadnewskich; słuchaj:

»Lat temu cztery jak płynąłem do Indyi Wschodnich na okręcie wojennym który konwojował flotę kompanii. Gdyśmy już wracali, na Flagmana przeznaczono do nas Kontr-admirała kawalera Aston, byłego Vice-Gubernatora w Madras, powracał on na ten czas z rodziną swoją do Europy; zaledwie wstąpił na pokład okrętu, natychmiast ściągneliśmy kotwicę. Wiele słyszałem o piękności starszéj córki Astona, ale nigdy niezapomnę téj chwili, kiedy ją ujrzałem w całym blasku piękności i młodości. Zdaje mi się, że teraz jeszcze widzę ją przed sobą w jasno-zielonéj sukni, śpiętą paskiem i klamerką perłowéj macicy, w dużym słomianym kapeluszu; ah! nie umiem wyrazić co się wówczas ze mną stało, kiedy podałem jéj rękę aby ułatwić wyjście z szalupy, jakiem podziękowała mi za to spojrzeniem,

i jak jéj było ładnie, kiedy zarumieniwszy się spuściła na dół długie swe rzęsy!.. Są namiętności które się nakształt prochu zapalają i jak świca tleją do samego końca, — Alisterzę taka właśnie namiętność we mnie się zajęła!

»Na moje szczęście czyli nieszczęście, jako najmłodszy Porucznik, zostałem przeznaczony na Adjutanta do Admirała, musiałem więc nieodstępnie przy nim zostawać, wkrótce byłem uważany jako domowy, lecz Mery jeszcze prędzéj zabrała ze mną znajomość; już się nie rumieniła gdy się spotkały nasze spojrzenia, często dostrzegałem jak nieraz ciągle swe oczy miała na mnie zwrócone; jeżeli siadła dla dyktowania mi jakiéj urzędowéj expedycyi, to już niedziwiłem się, dla czego opuszczałem mnóstwo wyrazów i narobiłem pełno omyłek; jeśli wziąłem się do rysowania, a ona schylona nad mojem ramieniem chciała zobaczyć robotę, ołówek drżał mi w ręce tak, jak w piersiach drżało serce; miałem niezmierną przyjemność sprzeczać się z tak miłą i dowcipną Mery, a zagłębiwszy się w jéj niebieskich oczach zapomniałem często przedmiotu sprzeczki i dowodzenia. Ileż razy niemy w najwyższém upojeniu siedziałem przy herbacie, zapominając o wszystkiém; wówczas unosiło mnie każde jéj poruszenie i oprócz niéj, nic niemiało wpływu na moje zmysły. Świat cały zdaje się że był zstąpił do kajuty Admirała; w osobie tylko Mery widziałem ten świat. Nakoniec okręt nasz zarzucił kotwicę przy brzegach Brazylii, a tak trzy miesiące, najsłodszego upojenia snem się tylko być zdały.

»Chciałbym zapomnieć, a nawet zapomniałem ci powiedzieć, że Aston miał żonę, pełną wszelkich wad złego wychowania, kobiétę niegodziwego charakteru a do tego prze-

jętą nikczemną dumą; rozciągnęła ona swe rządy nad mężem do tego stopnia, że ten chociaż był człowiekiem dosyć światłym, tyle jednak jéj pobłażał, że wolał bez zwad ulegać, aniżeli dać uczuć swą władzę. Z tém wszystkiem Ledy Aston nieraz przywodziła go do niecierpliwości. Poróżniwszy się pewnego razu z mężem w Madras, na dwa tygodnie przed jego odjazdem, wsiadła na okręt Wschodnio-Indyjski i odpłynęła do Anglii do swoich krewnych; wyobraź więc sobie, jakie było nasze zadziwienie, kiedy wylądowawszy na brzegach w *Rio-Żaneiro*, ujrzeliśmy Ledy rzucającą się w objęcia swojego męża, jakby nigdy nic między niemi niezaszło. Takiego spotkania Aston nigdy się niespodziewał, a nawet nie życzył sobie, niezmiernie więc został przerażony; chętnie chciał się oddalić od kochanéj swojéj połowicy, lecz na nieszczęście, tłum ludzi był wielki a przeto kłótnie familijne i sceny teatralne miejsca mieć niemogły. Uległ konieczności, a przeklinając w duchu tak nieszczęśliwy wypadek, przycisnął żonę do swojego łona.

»Jak tylko Ledy Aston zjawiła się na okręcie, szczęście mnie odbiegło; ta kobieta wszystko widziała w czarnych kolorach: każde poruszenie córki, każdy mój krok, zaczęto uważać w przewrotném świetle; już nie tak często byłem wzywany do Admirała, nareszcie zupełnie usunięty zostałem od obowiązku. Mniejsza o to ile cierpiała moja własna miłość, z powodu złego obchodzenia się ze mną Ledy Aston, albowiem dostateczną miałem zato nagrodę żem widział Mery; lecz to wszystko było niczém w porównaniu z tém, że będąc tak blizko ubóstwianego przedmiotu, a jednak rozłączeni; pod jednym dachem a nierazem, słyszeć jéj głos i niewidzieć oblicza, miarkować szelest jéj chodu i nic wię-

céj!.... O! Alisterze! to nad wszelkie pojęcie.—Posępność Mery podwajała moją tęsknotę... widocznie mizerniałem; ale tego niedosyć, nieszczęście więcéj chciało: Pewnego razu podała mi się sposobność mówienia z Mery przez okno kajuty, o drogo opłaciłem tę błogą chwilę ukontentowania, Ledy Aston nas podstrzegła.«

»Po upływie pół godziny, zostałem przywołany do Admirała; Ledy jak furya siedziała na kanapie, a ślady jéj gniewu można było jeszcze rozpoznać po wywróconym stoliku i potłuczonych filižankach; Mery zalewała się łzami, Admirał zaś szerokiemi krokami przechadzał się wzdłuž kajuty.

— »Udasz się pan niezwłocznie na okręt Impregnable (niezwyciężony) dla zastąpienia Porucznika który zachorował!« rzekł tonem oschłym: »žałuję že go tu zatrzymałem; a to rozkaz do Kapitana Forrester... žegnam!« Ledy spojrzawszy na mnie okiem pełnym złości ruszyła tylko głową, niewidziałem już zachwycającego oblicza Mery.... niepamiętam jak wyszedłem z kajuty Admirała i jakim sposobem dostałem się w szalupę; wiem tylko, že przy samym brzegu okrętu, zostałem przewrócony bałwanem wody i zaledwie majtkowie zdołali ocalić mnie i płynących ze mną wioślarzy. Burza coraz bardziéj wzmagać się zaczęła i niepodobna było puścić się daléj statkiem wiosłowym; pozostałem więc na okręcie.

Byliśmy już na równi odległości ku zatoce biskajskiéj, gdy w tém nagle wzmogła się burza okropna, dwa dni były ciągłą nocą, wicher bez przerwy miotał nami, nikt niewiedział gdzie się znajdujemy. Od ciągłego i gwałtownego kołysania się okrętu, fugi zaczęły się rozprzęgać, woda więc

jakby przez sito wciskała się w fregatę, do tego stopnia, że ludzie pompujący wodę, padali od znużenia; gdy w tém nagłe i niespodziane dało się uczuć uderzenie, okręt wstrząsł się i rudel jak piórko wyskoczył... »Zarzucić ołowiankę!«— »stóp 28«. — »To niedobrze!« — »25,« — »Jeszcze gorzéj!«—»24«—Aj, aj, aj, Broń Boże, jeszcze się zmniejszy o jedną stopę, to osiądziemy na mieliznie; lecz głębia zaczęła się powiększać i głos pocieszający oznajmił:—»stóp 35« —»Dobrze»—»42«—»nietrzeba lepiéj!«—»50«—»przewybornie!« —»Bezdenność, ołowianka nie dotyka się już ziemi.«—»Bogu niech będą dzięki, żeśmy wyrwani od zguby, wszyscy pomyśleli, ale w tejże chwili okręt całym swym spodem wpadł na mieliznę, a burzu rozbijała go o skały morskie. Okropna chwila! Po jękach i narzekaniach nastąpiła cichość grobowa... okręt zwolna powalił się na bok; bałwany wody rzuciły się na pokład, i podejmując cały ten gmach, roztrzaskały go w kawałki i rozniosły ofiary nieszczęścia po morzu. Przy świetle błyskawicy wyrywającéj się tylko kiedy niekiedy, z pod zasłony nocy, można było dostrzedz w blizkiéj odległości, czerniące się skały nadbrzeżne i białe pasma jakby cienie, uwijających się stadami żarłocznych czajek, które głosem złowieszczym krzycząc, bujały nad nami i zdawały się cieszyć ze swéj zdobyczy. Śmierć była na około: wszystko ginęło. — W okropnéj rozpaczy wpadłem do kajuty Admirała; serce moje rozdzierało się na widok tego co tam ujrzałem przy bladym świetle latarni: Połowa kajuty już toneła w morzu, Admirał między żoną i dwiema córkami na pół żywemi, jeszcze chciał ukryć okropność położenia, ale to było już niepodobną rzeczą; zdawało się że walczył z tym żywiołem nienasyconym w obronie nieszczęśliwych

ofiar; zdawało się że chciał zasłonić od napaści bałwanów, wciskających się przez powybijane okna kajuty. A Mery.... ah tysiąc razy, raz po raz wolałbym utracić własne życie, dla jéj ocalenia, ale kiedy z rozpaczą rzuciła się na moje łono błagając ratunku dla siostry i rodziców, zapomniałem wówczas o sobie i o życiu. — Widząc nieuchronną zgubę téj która dla mnie była wszystkiem, niewiem jaki anioł mnie zachował żem zmysłów nieutracił.«

»Wschodzące słońce, odkryło całą okropność naszego położenia, jedna tylko rufa nam pozostała, reszta zaś wszystko było rosproszone po morzu; w odległości pół wersty od nas widać było tylko brzeg niedostępny, najeżony skałami. Ani jednego masztu nie było już na horyzoncie; morze tylko igrało na około nieszczęsnych obłamków naszego okrętu i co chwila groziło nam śmiercią. Nie wiem czy podobna zrozumieć w całem znaczeniu męczeństwo podobnego rodzaju, a jeszcze bardziéj w takim razie, kiedy się widzi obok siebie przedmiot ubóstwiony! . . . .
. . . .

Alisterze, w krótce już skończę; uradziliśmy aby z desek i belek rozbitego okrętu, zbić tratwy, poprzywiązywać do nich kobiety i puścić się na wolą Boską, razem z falami ku brzegowi. Bałwany morskie trzech majtków uniosły, dwaj inni przyciśnięci szczątkami okrętu, utracili życie, reszta zaś, prowadzona ręką Opatrzności, na pół prawie żyjąca, została wyrzuconą na brzeg. Przez cały ten czas, znajdowałem się obok Mery, wspierałem ją na wodzie, odpychałem belki które by mogły natarciem swym zagrażać jéj życiu; nareszcie już żadne niezagrażało jéj niebezpieczeństwo już swobodnie spoczywała na piasku; w tém ogro-

mny bałwan wody wylał się daleko na brzeg, pokrył nas i nieprzytomną Mery uniosł na powrót do morza...

»Jakże, więc utonęła?« zawołałem.

(Dokończenie nastąpi).

O TRAJEDYI
Z POWODU WYSTĄPIEŃ PANNY RACHEL.

(Dokończenie)

Smutna marności rzeczy ludzkich! Jako! owych pięknych teoryi Rasyna, owych wzniosłych myśli tak kształtnie wydanych, owych przedmów tak treściwych, tak szlachetnych, całego tego lubego systematu tak tkliwego i namiejętnego, prawdziwą przyczyną była szczupłość miejsca i ławki stojące na przodzie sceny? Czyż podobna aby tylu powierników tak harmonijne udzieliło nam opisy, aby tylu zakochanych Książąt tak pięknie mówiło, dla tego jedynie aby zapełnić scenę bez wielkich poruszeń i nie zawadzić o nogi panów Markizów? Niestety! nazbyt to wielka prawda. I skądże pochodzi że na teraźniejszym teatrze, trajedye Rasyna, chociaż tak pyszne, wydają się chwilami zimnemi, dziwnie zimnemi, jak piękne posągi na w pół tylko ożywione? O to dla tego, że Hrabia Lauraguais dał 30,000 franków, roku 1759 aby zdjęto ławki ze sceny; że Andromaka, Monima, Emilia, znajdują się teraz same jedne w obszernych przysionkach gdzie nic im nie zawadza, gdzie mogą swobodnie przechadzać po sześćdziesięcio-stopowéj przestrzeni; że już nie ma Markizów co by otaczali aktorkę, prawili jéj dowci-

pne żarciki po każdym przestanku, podnosili wachlarz Hermiony, krytykowali ubior Tezeusza. Orestes z mieczem w ręku nie potrzebuje teraz rozpychać tłumu trefnisiów, mówiąc im: »Pozwólcie mi przejść panowie, idę zabić Pyrrusa.« Dla tego to postrzegamy że akcya się przewleka, dla tego dziwimy się że chociaż wszystkie drzwi otwarte, cały pałac pusty, nikt nie wchodzi, nie działa, nie ożywia sztuki.

Pomimo uszanowania jakieśmy zachowali dla pisarzy wielkiego wieku, w innném zupełnie jak oni znajdujemy się położeniu; powinniśmy inaczéj jak oni postępować; lecz jak? to właśnie zapytanie.

Wolter pierwszy sprobował, w Tankredzie, utworzyć trajedję prawdziwie nowoczesną. Sądził iż zupełnie mu się udało, i nie całkiem się omylił. Przedmiot jego jest jeden z najpiękniejszych, najbardziéj rozczulających, jakie widziano na teatrze; plan prosty, śmiały, mistrzowską skreślony ręką; lecz na nieszczęście wszyscy się zgadzają że wierszowanie jest zbyt wolne, pospolite, napisane na prędce, i że w nim deklamacya przywłaszczyła sobie miejsce prawdy. Zdaje się jakoby Wolter nigdy nic nie napisał z zadowoleniem własnego przekonania, wyjąwszy gdy go żółć podniecała; inne jego dzieła zdają się być utworem człowieka który zawarł zakład i improwizuje. Nawet gdy najpiękniejsze swoje pisał wiersze, możnaby mniemać iż przyjaciele stali za drzwiami i słuchali go; była to wiekuista wystawność. Nie dziwię się, że Napoleon czytając Zairę na wyspie Świętéj Heleny, rzucił książkę i zawołał że Wolter nie znał ani ludzi ani namiętności. Napoleon nie mógł ocenić godnych podziwienia wysileń, które przedsięwziął autor Edypa, aby zepsutemu i przesyconemu towarzystwu dać zakosztować dzikich owo-

ców starożytności. Jednakże pomimo błędów swoich, rycerska trajedja Tankred, godną jest być przedmiotem ważnych badań. Jeśli nie jest wzorem, jest przynajmniéj przykładem.

Du Belloy probował wprowadzić trajedyą narodową, pierwotna myśl była godną uwagi, lecz wykonanie tek słabe że na wzmiankę nawet nie zasługuje. Chénier poszedł tąż samą drogą i usiłował utworzyć trajedję historyczną. Lecz te wyszczególnienia zbyt dalekoby mnie doprowadziły; pragnę tylko oznaczyć datę płodnéj myśli.

Wprowadzenie dramatu do Francyi, wywarło wpływ tak szybki i mocny, że dla zadowolenia tego nowego gustu, i aby nie odstąpić całkiem od dawnéj szkoły, niektórzy pisarze postanowili średni obrać rodzaj i pisać traiczne dramata. Nie zgwałcili w prawdzie całkiem zasad, lecz je okrążyli niejako, i możnaby rzec w stylu prawym, iż popełnili zbrodnię romantyczną z łagodzącemi okolicznościami. Znakomite dowcipy puściły się tą drogą; udało im się, gdyż talent pod jakimkolwiek kształtem się ukaże zawsze się podoba: lecz na stronę usunąwszy te zasłużone pochwały, mniemam że rodzaj ten jest sam z siebie fałszywym i niebezpiecznym dla młodzieży coby go chciała probować. Nie jeden może mi powie: cóż mnie obchodzi czy prawidła są zachowane, byle mnie sztuka bawiła? Słusznie tak twierdzi publiczność; nie do niéj należą przepisy Arystotelesa, lecz należą do pisarza i znać one powinien, a nauczyciel Aleksandra pewnie nie dla zabawy poczynił tak wielkie wyrachowania, poświęcał się tak głębokim naukom, tak oschłym badaniom, aby ustalić owe prawa.

Wiele osób nazwyczaiło się uważać prawidła za więzy. La Motte mówi, że trzy jedności są wymysłem, którego można dowolnie używać lub obejść się bez niego. W istocie, nikt nie jest przymuszonym koniecznie stosować się do nich; kto chce, może pisać co mu się podoba. Prawidła trajedyi, tego tylko obowiązują, co ma zamiar pisać trajedyę, lecz chcieć napisać trajedyę bez trzech jedności, jestto prawie to samo co chcieć zbudować dom bez cegieł. Sztuka nie zachowująca jedności może być bardzo piękną; można w niéj tysiąc znaleść powabów i wiersze jak najpiękniejsze; można nawet wydrukować na afiszu że to trajedja; lecz aby w to uwierzono, to znowu co innego, chyba że zechcemy naśladować owego hipokrytę, który w poście pokropił kurczę trochą wody, mówiąc: chrzczę cię karpiem.

Gdyby prawidła były więzami utworzonemi dowolnie dla zwiększenia trudności i dręczenia autorów, byłyby tak wielką niedorzecznością, że nawet niepodobna pomyślić aby takie jenjusze jak Sofokles, Eurypides, Kornel, mogły się ich trzymać. Prawidła są rezultatem wyrachowań poczynionych nad sposobami zbliżenia się do celu, który sztuka sobie zamierzyła. Zamiast być więzami, są raczéj bronią tajemniczą, dzwignią. Architekt używa kół, windy, rusztowania; poeta zaś prawideł, a tę im ściśléj będą zachowane, śilniéj użyte, tym większym będzie effekt, tym trwalszym rezultat; lękajcie się więc one osłabić, jeśli nie chcecie osłabić samych siebie. Przypuszczam, że rodzaj który nazywamy pośrednim, na w pół-dramatyczny, na w pół-traiczny, ustali się we Francyi. Przypuszczam jeszcze że dwóch pisarzy, jeden którego jenjusz równie będzie niepodległym jak jenjusz Szekspira, drugiego gust równie czystym jak gust

Rasyna, zjawią się, i znalazłszy że rodzaj ten jest przyjętym, sprobują pójść w jego ślady. Cóż ztąd wyniknie? Człowiek niepodległy zaledwie cztery stronnice napisze, a już się ujrzy skrępowanym; nie zdoła znieść podobnego ograniczenia; niezbyta potrzeba całkowitego rozwinięcia swych myśli, przywiedzie go do skruszenia słabego jarzma, które mu się wyda niepotrzebném i niesprawiedliwém; drugi pisarz przeciwnie postrzeże, że im bardziéj będzie się zbliżał do prostoty, tém więcéj zyska; uczuje, że ustępy, zmiany dekoracyi, obrazy obyczai i charakterów, ujmują jego dziełu wielkość i siłę, któremi pragnął ono nacechować. Jeśli prawidła są mu nieznane, to je odgadnie; jeśli je zna to onych użyje. A tak rodzaj pośredni będzie niedostatecznym dla pierwszego, dla drugiego niebespiecznym lub niepotrzebnym; jeden z nich skruszy kajdany, drugi je ścieśni.

Jeśli trajedya zjawi się znowu we Francyi, śmiem twierdzić iż musi się ukazać bardziéj skromną, bardziéj surową, bardziéj starożytną niż za czasów Rasyna i Kornela. We wszystkich przemianach którym uległa, we wszystkich swoich rozwinięciach, we wszystkich nadużyciach co ją upodliły, bezustannie czuć się dawał pociąg ku dramatowi. Gdy Marmontel uczynił wniosek aby zmieniać dekoracyę w każdym akcie; gdy Encyklopedya ośmieliła się wyrzec że Angielska sztuka *Bewerley* była również tragiczną jak *Edyp*; gdy Diderot pragnął dowieść że nieszczęścia prostego mieszczanina mogą być prawie tak zajmującemi jak nieszczęścia królów, wszystko to zdawało się chyleniem ku upadkowi, a było tylko wstępem do romantyzmu. Dzisiaj, dramat stał się przybranym ziomkiem Francyi; pojmujemy Goetego i Szekspira podobnie jak i panią Stael; nowa szkoła wyda-

ła wprawdzie same dopiero próby, a rewolucyjny jéj zapał, jakby wyraził się Molier, uniósł się nieco zadaleko; lecz później popiszemy się lepiéj, i rzecz prawie jest uskuteczniona. Z téj to właśnie przyczyny, żeśmy przyswoili sobie dramat, zdaje mi się, że jeśli trajedya pragnie być wskrzeszoną i utrwalić się u nas, powinna dawniejszy chód przybrać, z większą niż kiedykolwiek dumą. Bo od czasów Woltera zawsze prawie tylko była pozorem, przyjętym tematem, za pomocą którego wprawiano się do odrębnych całkiem rzeczy, a czasem i do własnej zagłady. Romantyzm chcąc się na jaw ukazać, wcisnął się w trajedyą aby ją stoczyć, jak robak wciska się w owoc dojrzały; a nie zbywa teraz na ludziach co sądzą ten owoc wyschłym lub zgniłym. Jeśli Melpomena chce się znowu ukazać na naszych teatrach, musi pierwéj obmyć swe rany.

Niebyłożby to pięknie probować, czy za dni naszych mogłaby się udać prawdziwa trajedya? Prawdziwą trajedyą nazywam, nie trajedyę Rasyna, lecz trajedyą Sofoklesa, w całéj pierwotnéj prostocie, z najściślejszém zachowaniem prawideł.

Niebyłożby to śmiałe a zarazem i chlubne przedsięwzięcie, oczyścić scenę z próżnéj gadaniny, filozoficznych madrygałów, lamentów miłosnych, w ogóle z owéj czczéj wystawności co opanowała nasze teatra i całą tę tandetę rzucić w kąt wraz z markizami Moliera i ławkami hrabi Lauraguais?

Dla czegóż nie mielibyśmy przybrać za godło ów wiersz Chéniera, który stał się dewizą romantyzmu, a najwłaściwiéj mógłby być zastosowanym do odrodzenia trajedyi:

»*Sur des pensers nouveaux, faisons des vers antiques.*«

Nie byłożby to wielką nowością przebudzić grecką muzę, śmieć ją przedstawić w całéj jéj dzikiéj wielkości, z całą wzniosłą srogością? Nieszczęścia zdarzające się przyjaciołom lub obojętnym, mówi Arystoteles nie są bynajmniéj tragicznemi; matka zabijająca syna, syn zarzynający ojca, brat mający ginąc z ręki siostry, oto przedmioty do trajedyi.« Przecie to nie są madrygały.

Niebyłożby ciekawie widzieć passującą się z dramatem tegoczesnym, który nieraz mniema że jest okropnym kiedy tylko jest śmiesznym, tę dziką, niezbłaganą muzę, taką jak była za najpiękniejszych dni Aten, gdy spizowe urny na głos jéj drżały?

Niebyłżeby już czas dowieść, że trajedya jest czemciś więcéj jak deklamującym posągiem, pokazać nakoniec że można działać mówiąc, i chodzić w korturnie?

Niebyłżeby czas powrócić poważnym przedmiotom szczerość stylu, porzucić peryfrazę, ów pompatyczny i błahy sposób krążenia w około jednéj myśli? Czyż nie równie szlachetnie jest powiedzieć, np. »człowiek zabijający się orężem« niż »śmiertelnik co mieczem swoim pasmo życia przecina?« Starożytni pogardzali taką nieśmiałością i nie tak się Kornel wyrażał.

Oto są pytania które ośmieliłem się uczynić pisarzom, zasłużoną posiadającym dzisiaj sławę, gdyby talent młodéj artystki, co wprowadziła w modę dawny repertoar, skłonił ich, jak to pewno nastąpi, do napisania dla niéj roli.

W. S.

MODY.

LIST II.

MATYLDA do LAURY.

Kochana Lauro, nie wiele dzisiaj mam ci donieść; skończyły się karnawałowe zabawy, niema zatém co wspominać o sukniach balowych. Najmodniejszy, najstosowniejszy do pory i okoliczności jest teraz kolor czarny; mnóstwo widać sukien z czarnego atłasu i mory. Szale, zwane *Lama*, czarne z popielatym wielką mają wziętość téj zimy, i stały się niezbędną nowością każdéj modnéj toalety. Czarno siatkowe rękawiczki, wyszywane podobnym jedwabiem, powinny towarzyszyć temu ubiorowi, równie jak i strojom żałobnym. Obszyte są u góry aksamitnemi kokami, lub szeroką koronką spadającą w kształcie mankietek.

Ale, zapomniałam ci powiedzieć, że od niejakiego czasu rogówki zaczynają wchodzić w modę; robią je teraz bardzo małe i lekkie; przy takiéj rogówce można mieć kibić sylfidy, w rannym nawet szlafroczku.

Czarne koronki są bardzo teraz używane, na falbany, szarfy, berty, chustki i mantylki.

Pomiędzy ubraniami głowy wzmiankować muszę: *Les Mancinis*, składające się z gron *jaisowych*, wraz z czarną koronką spływających w dłuż policzków. — *L'Aragonaise*, pół-wieńce różowych kwiatów z czarnym środkiem, otoczonych pół-woalką koronkową, któréj końce spadające na szyję, niezmiernie elegancki i wabny strój tworzą.—*L'Italienne*, gatunek pół-zawoja koronkowego, opleciony żaisowemi tor-

sadami. *Mantilla*, utworzona ze srebrnego kłosa i aksamitnych liści spadających w kształcie rajskiego ptaka i przytwierdzonych czarnym koronkowym węzłem. Strój ten cudnie się wydaje przy aksamitnéj sukni. — *La Créole* nie wielki wianeczek z białych róż bezlistnych, okrążający w samym tyle warkocz. Można do tego ubrania dodać białe koronkowe berty, co bardzo dystyngowany strój stanowi. — *Coiffure Memphis*; nic bardziéj powabniejszego i ułudnego jak ta mięszanina gazy i kwiatów, zwijająca się w zawój około głowy i wdzięcznie spadająca na szyję. Róże, tworząc dwa lube pół-kręgi na licach, roskoszną falistość nadają zasłonie którą z każdéj utrzymują strony. Słowem, sztuka, poezya i wdzięk oddychają w tém czarowném ubraniu, przypominającém kapłanki wschodnich tajemnic.

Do męzkiego ubrania zawsze służą jak najciemniejsze kolory. Co do kształtu, jeszcze niskie kołnierze, połączone z klapkami wycięciem nakształt *V*. Wszystko to obszyte wąskim jedwabnym sznurkiem. Poły podszyte jedwabną broszowaną materyą, w cięte na biodrach, rozszerzają i zaokrąglają u dołu. Guziki zawsze przerabiane jedwabiem. Do szafirowego koloru utrzymują się jeszcze złocone i wyrabiane guziki.

Najbardziéj eleganckie kamizelki są w kolorach jasnych, popielato-perłowym, białym; noszą także aksamitne, haftowane w maleńkie bukieciki, jedwabiem, złotem lub srebrem, albo atłasowe w dessenie wypukło wyszywane. Niektórzy eleganci noszą kamizelki, u których kieszonka przykryta jest małą trójkończastą patką, z trzema złotemi guziczkami, takiemi samemi na jakie zapina się kamizelka.

Nie ma nawet o czém wspominać że moda pantalionów nie zmieniła się dotąd; jest dzisiaj ta sama jak przed dwudzieστą laty i pewno długo się jeszcze utrzyma, jeśli ubiór mężki najzupełniejszéj nie ulegnie zmianie, czego się jednak nie spodziewamy, robią je z czarnego kaźmiru. Obcisłe także z kaźmiru lub czarnéj trykoty.

Zimowe surduty zawsze są krótkie, obszyte futrem z kołnierzem szalowym podszytym aksamitem, na piersiach spięte taśmami szmuklerskiéj roboty.

DWA GUZY.

(z *Monde-dramatique.*)

I.

Doktór Steubein słynął w Berlinie przy schyłku ostatniego wieku, a sława jego, jako uczonego lekarza, biegłego i doświadczonego praktyka, nie tylko ustaloną była w tém mieście, lecz rozszerzyła się po wszystkich państwach Niemieckich. Wysoki, chudy i pochylony, draźliwego i nerwowego temperamentu, niczém nie odznaczał się powierzchownie; podziwiano tylko jego wzniosłe i szerokie czoło, poorane pracą i czuwaniem, oczy błyskające pod czarnemi gęstemi brwiami, podłużną przedzielonego zmarszczką, a których nieruchome i zadumane spojrzenie, zdawało się głęboko myśl każdego przenikać. Skromny, czynny, pilny, poświęcający zaledwie spoczynkowi kilka chwil wydartych chorym i nauce; zawsze gotów we dnie i w nocy śpieszyć na ratunek cierpiących, był wzorem poświęcenia i wyrze-

czenia się samego siebie. Nie idąc za przykładem większéj części swoich współbraci, co wsławiwszy swoje nazwisko, niedorzeczną unosząc się pychą nie niosą pomocy niższéj klassie, któréj cierpienia posłużyły za podstawę ich wziętości, Steubein z równąż pieczołowitością pielęgnował ubogiego jak i bogacza, a jeśli możnemu kazał dobrze sobie płacić, nędzarzowi udzielał szlachetnie bezinteressownych starań.

Mieszkańcy poddaszów zwali téż go dobroczyńcą swoim, składali mu hołd i cześć, jakie dobry syn ukochanemu oddaje ojcu. Gdy przechodząc przez ulicę lub rynek został poznany, lud zawsze głośno wyrażał mu wdzięczność swoją, przypominał wyświadczone usługi i błogosławił imie jego; trzeba było w ówczas widzieć jak nieoceniony doktór twarz sobie zasłaniał, usiłując pokryć wzruszenie jakie mu sprawiały pochlebne te hołdy, prawdziwie z duszy pochodzące. Gdyby w téj chwili wewnętrznéj szczęśliwości tron mu ofiarowano, pewno byłby go odrzucił, gdyż potęga jaką dobrodziejstwy swojemi wywiérał, zdawała mu się wyższą nad wszelkie ułudne roskosze znaczenia i zaszczytów.

Jakkolwiek trafny i prawdziwy rozum posiadał, nasz doktór uległ jednak systematowéj gorączce, pożerającéj, i wiecznie pożerać mającéj biedną ludzkość. Nauka Galla złudziła go śmiałością i nowością swoją, a doświadczenia, poczynione na dowcipnych tworach wsławionego współkolegi, musiały zapewne zadowalające przynieść rezultata, gdyż stał się najżarliwszym z jego zwolenników, i tak wierzył w kranioskopię jak Włoch w swoją Madonę, Arab w klacz proroka, Hiszpan w swój sztylet. Przyjąwszy jednak owe teorye za prawdy niezawodne, niedał się wcią-

gnąć w przepaść zwaną fatalnością, i przypuszczał, że w pewnych wypadkach, wychowanie, jeśli nie zupełnie, to przynajmniéj w części zmienić może dobre lub złe skłonności, jakie organizacya ludziom nadała. Wyłączał jedynie wielkie ogólności systematu; wierzył iż osoba posiadająca wąskie i niskie czoło musi mieć koniecznie tępe i ograniczone pojęcie; głowa, któréj czaszka niewystaje pozbawioną być musi wszelkich uczuć, a głowa zwężona na przodzie, słabo tylko rozwiniony instynkt zawiera w sobie.

Niespracowany i wytrwały, wznawiał codziennie doświadczenia swoje, nagromadzał fakta, a gdy w ich liczbie ukazał się jaki bardzo ciekawy, co zdołał zająć badawczy jego umysł, śpiesznie dawał go poznawać światu, z bezinteressownością prawdziwego uczonego, jedynie dla dobra nauki, nie dla własnéj sławy. Grabarz, zwany Ricconi, dostarczał mu sposobu zadowolenia ulubionych badań; za małą zapłatę dostawiając ciała na śmierć skazanych.

Raz, pośród zimowéj nocy, sam jeden, owinięty długim płaszczem, który mu twarz nawet zakrywał, doktór Steubein wyszedł od chorego, którego słabość wymagała kilkugodzinnych jego starań i przytomności. Gęsta mgła zalegała miasto jak zimny i obszerny całun; ulice były ciemne i milczące, i nie bardzo może było bezpiecznie zapuszczać się w nie o takiéj godzinie bez przewodnika lub towarzysza. Lecz doktór szedł z ufnością jaką spokojne nadaje sumienie, nie troszcząc się bynajmniéj o nieprzyjazne spotkanie; w razie napadu mógłby wezwać straż miejską, któréj powolne i miarowe kroki dochodziły go chwilami. Spokojnie spieszył do mieszkania; drżał jednak niekiedy, nie ze strachu, lecz zimna, bo płaszcz, jakkolwiek ciepły, nie zabezpieczał go od przenikliwego

wiatru, — w tém postrzegł, o kilka kroków przed sobą, cień jakowyś zwolna się poruszający, — cień ten odczepił się wreście do muru do którego przypierał, i wysunął się na środek ulicy. Doktór bez najmniejszego pomięszania szedł swoją drogą; lecz ów człowiek, gdyż to był człowiek a nie widmo, zastąpił mu drogę i zagroził ostrzem sztyletu.

— Signor, obdarz mnie kilku złotemi, — odezwał się na w pół płaczliwym, na w pół rubasznym głosem, — a Bóg ci to nagrodzi, gdyż chwalebny zrobisz uczynek......

— Jeśli się nie mylę, znam ten głos, — rzekł doktór sięgając do kieszonki po pieniądze.

— Ach! to Pan Steubein, nieoszacowany nasz doktór! — wykrzyknął nieznajomy; potém odpychając podany sobie woreczek: — ja takim poczciwym ludziom jak pan nic gwałtem nie biorę; sumienie wyrzucałoby mi tak czarny postępek, bo wiem że wszystko co posiadasz jest własnością ubogich.

— A to prawdziwie miłosierna powściągliwość! — odpowiedział doktór, poznając w człowieku co go zatrzymał swego dostarczyciela czaszek, grabarza Ricconi. — Ale jak widzę zbieramy cóś grosze, mości żartownisiu! We dnie nie dajemy pokoju umarłym, a w nocy żywym!.... — Niestety! — odrzekł Ricconi, — grabarskie rzemiosło tak jest nędzne!.... — Musisz więc jeszcze w nocy zarabiać?.... — Jedynie z potrzeby, panie Doktorze.... — Z potrzeby!... A cóż robisz ze złotówkami które ci daję; czyż nie powinny ci wystarczyć?.... — Wystarczyłyby mi gdybym był sam... — To masz więc żonę, dzieci?.... — Nie, signor! — I cóż — I cóż... i cóż...., och! toby zadługo było panu opowiadać.... — Ach! ach! rozumiem, masz tajemnice. No, to,

przyjdź do mnie jutro; powierzysz mi one, jeśli ci się zdawać będzie, a ja ci dam tyle złotówek abyś się mógł wyrzec twojego obmierzłego przemysłu. — Mam przyjść do pana!.... a któż mi zaręczy że mnie nie zechcesz wydać na szubienicę?...— Własny mój interes!.... Gdybym cię stracił, gdzieżbym znalazł bardziéj poświęconego, bardziéj użytecznego człowieka?—Zgoda! niechże i tak będzie; przyjdę. Lecz gdybyś mnie pan chciał oszukać?.... Ale nie spodziewam się tego—dodał Ricconi, z przyciskiem te ostatnie wymawiając słowa:—krew moja spadłaby na ciebie...—Do jutra więc!—Do jutra, panie Doktorze.

I grabarz oddalił się szybko, a Doktór szedł daléj zacierając ręce z ukontentowania, gdyż pomyślał że głowa grabarza może mu posłużyć za przedmiot nowych doświadczeń.

(Dokończenie nastąpi.)

POEZYA.

DO DZIECINY.

I czego płaczesz? że ci uwiądł kwiatek,
Że uleciała z drobnych rąk ptaszyna,
Poczekaj dziecie jeszcze kilka latek,
Nowa płaczowi stanie ci przyczyna.

Po co masz w lubéj życia twego wiośnie,
Rozlewać łezki nad rzeczami drobnemi,
Gdy krzew dzieciny, w drzewo męża wzrośnie,
Więcéj ci one będą potrzebnemi.

A. Ba... K.

TEATR WARSZAWSKI.

SYLFIDA,

Balet w 2 aktach kompozycyi p. Taglioni (Ojca). *Na scenę tutejszą ułożony przez p. Maurice, z muzyką p. Schneitzhoeffer, pierwszy raz przedstawiony w Teatrze Wielkim dnia* 17 *Lutego r. b.*

Dwóch wieśniaków Szkockich, James i Gurn, kochają młodą Effi, ona zaś wzajemną jest pierwszemu, James we śnie ujrzał Sylfidę i od téj chwili ciągle jest nią zajęty. Wieśniacy obojéj płci schodzą się na obchód weselny Effi z Jamesem, przychodzi także tam i czarownica Madge, chroniąc się przed burzą; wróży los przyszły dziewczętom, a z kolei oświadcza Effi, że Gurn tylko prawdziwie ją kocha i że jego żoną zostanie, rozgniewany James wypędza ją. Wśród tańców, w chwili zawarcia ślubów, zjawia się Sylfida i uprowadza z sobą Jamesa, dostrzegłszy jego nieobecność Effi, wpada w rozpacz. Sylfida z porwanym przez siebie kochankiem, wchodzi do rozkosznych miejsc swego pobytu, tu, zajmuje go wabnemi tańcami współtowarzyszek, lecz gdy James chce ją przy sobie zatrzymać, zawsze mu znika. W tém przychodzi Madge, i daje mu zaczarowaną szarfę, którą gdy zarzuci na skrzydła Sylfidy, te opadną i ona na zawsze przy nim pozostanie. Uszczęśliwiony James dziękuje jéj za ten talizman, zjawia się Sylfida, kochanek zarzuca na nią fatalną szarfę, skrzydła wprawdzie jéj odpadają lecz zarazem i ona umiera. Rozpaczającemu Jamesowi przedstawia się z tryumfującą miną czarownica, okazując w

dalekości obchód weselny Gurna z Effi; a Sylfida uniesioną zostaje w górne sklepienia, na ten widok biedny James pada bez zmysłów.

Oto jest treść tego zachwycającego baletu, przedstawionego u nas z przepychem, lecz szczególniéj w nim zajmuje panna Wendt (Sylfida) uczennica szkoły tańca, która występując po raz pierwszy przed Publicznością, okazała zdolności nadspodziewane, rola ta nad jéj siły fizyczne: ma bowiem dopiero lat 14, a jest przez nią odegrana z niesłychaną naturalnością lekkością i wdziękiem, słowem najpiękniejsze rokować możemy nadzieje dla baletu naszego z tego rozwijającego się talentu; Publiczność téż ciągłemi oklaskami i wywołaniem wynagrodziła ją. Niemniéj zasługuje na pochwałę, odegranie sceny rozpaczy, przez pannę Gwozdecką (Effi).

Chwalić pana Maurice (James), może jest zbyteczną rzeczą, lecz niemożna go pominąć, niewspomniawszy zasług i starań jakie ten utalentowany artysta dla wzrostu baletu naszego ciągle pokłada, czego nowy dał dowód, w ułożeniu i wyuczeniu Sylfidy.

Nowa dekoracya wyobrażająca wnętrze chaty Szkockiéj pędzla pana Głowackiego, podobała się powszechnie. Maszyneryje pana Joutty, nic do żądania nie zostawiają, najtrudniejsze zmiany, dzieją się w mgnieniu oka, jakby za pomocą laski czarodziejskiéj. Słowem wszystko się połącza w przedstawieniu tego baletu, co może zająć umysł i oko widza, dawno téż niewidziano tak ogólnego zadowolenia w Publiczności, jakie wzbudził ten balet.

X. Z.